

Pieszo do Budziszyna po Via Regia

Od setek lat ludzie pielgrzymują do miejsc świętych. W wyniku tego powstało kilka dróg, po których poruszają się oni w mniejszych czy większych grupkach. Z reguły dzienne przejścia oscylują w granicach trzydziestu kilometrów. Większy dystans byłby już zbyt wyczerpujący a tym samym niebezpieczny. Jest wiele dróg prowadzących do celu, a jedną z nich jest właśnie Via Regia. Ponieważ nie każdy ma możliwość odbyć tak długą pielgrzymkę Stowarzyszenie Południowo-Zachodnie Forum Samorządu Terytorialnego "Pogranicze" i Christlig-Soziales Bildungswerk Sachsen przygotowały wspólny projekt pod nazwą "Via Regia: poznać Europę - od historii do przyszłości". Projekt ten ma ułatwić wędrówkę zarówno mieszkańcom Dolnego Śląska jak i Saksonii. W jego ramach uczestnicy pielgrzymki mają zapewniony darmowy dowóz autobusem na miejsce startu i mety poszczególnych odcinków, na jakie podzielono cały szlak. Przemarsze odbywają się raz na tydzień i w ten sposób, można powiedzieć na raty, wszyscy chętni przejdą całą trasę, poczynawszy od Złotorii aż do Königsbrück. Tym razem, czyli 22 września 2012 roku, chętni wyruszyli z miejscowości Melaune. Grupa liczyła dwadzieścia osób a prowadzącym był Emil Mendyk. Ponieważ pogoda była nienajlepsza nie można było ruszyć w sandałach tak jak czyniono to dawniej. Trzeba było założyć „prawdziwe” buty przewidziane do takich wędrówek. Ruszamy zatem w stronę widocznych w oddali wiatraków. Po zjednoczeniu Niemiec na okolicznych polach planowano budowę składowiska odpadów radioaktywnych. Praktycznie oznaczało to śmierć całego życia na przeznaczonej pod to ziemi. Mieszkańcy nie godząc się na to rozpoczęli walkę. I udało im się. Składowisko nie powstało. Na pamiątkę zwycięstwa ustawiono tutaj w 1994 roku drewniany krzyż z metalową tabliczką, na której umieszczono stosowny napis. Dowiadujemy się z niego, że na 40. hektarach miało tu wyginąć życie przyrodnicze ponieważ prowadzimy nieprzyjazny sposób życia.



Weissenberg, fontanna z drzewkiem przedstawiającym herb miasta. Foto: Krzysztof Tęcza

Uradowani, że udało się ocalić od zagłady tę piękną okolicę docieramy do miejscowości Buchholtz, gdzie nad stawami założonymi przez Krzysztofa von Gersdorfa próbujemy sfotografować wodujące kaczki. Nieco dalej widzimy ciekawe drzewo o dużych szyszkowatych kwiatach koloru różowego. Nikt nie wie co to jest.

Ale oto docieramy do miejscowości Weissenberg. Przechodzimy koło zadbanego cmentarza żołnierzy radzieckich i już jesteśmy na Rynku z ratuszem o wysokiej okrągłej wieży. Obok w niewielkiej fontannie umieszczono żeliwny odlew zielonego drzewa będącego herbem tej

miejsowości. Ponoć Biała Góra to miejsce starć dwóch bogów: białego i czarnego czyli walki dobra ze złem.

Posiliwszy się nieco zapragnęliśmy spróbować, ponoć smacznych, pierników jakie są tu wytwarzane. Niestety nie dane nam było tym razem poznać ich smaku gdyż sklep i zarazem muzeum w sobotę jest czynny dopiero od godziny trzynastej. Na ośłodę zostaliśmy poczęstowani przez prowadzącego czekoladą. Obejrzelśmy aktualnie remontowany stary dom przysłupowy oraz widoczny za murem kościoł. Akurat był otwarty. Kościoły ewangelickie mają bardzo surowy wystrój. Brak w nich ozdób i przepychu jak w kościołach katolickich. Przy murze cmentarnym widzimy mogiłę, w której pochowano siedemnastoletniego chłopca rozstrzelanego pod koniec wojny za dezercję. Nasuwa się tu pytanie: bohater to czy zdrajca? Zapewne my będziemy odmiennego zdania niż jego rodacy. Do tej pory wydawało nam się, że właściwie idziemy po równym terenie. Teraz idąc dalej musieliśmy pokonać prawie sto stopni. A więc jednak jest to, tak jak sugeruje nazwa, góra.



Nieoczekiwane spotkanie na szlaku. Foto: Krzysztof Tęcza

Wkrótce docieramy do leśnego wąwozu. Ale zanim to nastąpi mijamy wiadukt będący pozostałością po jeżdżącej tędy kolejce. Spotykamy też po drodze nastolatkę na pięknym rumaku. Po przekroczeniu drewnianego mostku nad rzeką Lobau idziemy wąską ścieżką uważając by nie ześlizgnąć się do wody. Jednak zieleń, szum wody i, przede wszystkim, nastrój jaki nam się udzielił zachęca nas do marszu naprzód, przed siebie. Nie zrażają nas nawet powalone wielkie drzewa, które bardzo utrudniają naszą wędrówkę. Niektórych, ze względu na strome zbocze, po którym idziemy, musimy ominąć. Wydłuża nam to trochę drogę ale mimo wszystkich trudności docieramy do miejscowości Gröditz. Widzimy tu pałac przykryty mansardowym dachem. Niestety jest on zamknięty. Gdy już mieliśmy iść dalej podeszła do nas pani i zaproponowała, że oprowadzi nas po nim. Nicol, bo tak miała ona na imię, opiekuje się tym zabytkiem w imieniu obecnego właściciela, którym jest Berthart Zenker. Jego rodzina mieszkała tutaj aż do 1945 roku. Jakiś czas temu stworzono im możliwość odkupienia swoich posiadłości. To tak jak u nas. Teraz, w miarę swoich możliwości, prowadzi on prace remontowe. Pomagają mu w tym mieszkańcy i wolontariusze. Na szczęście widać już efekty tych prac. Na aukcjach internetowych kupowane są meble pasujące do wnętrz pałacowych. Niektóre są prezentami od osób zaprzyjaźnionych. Aby sprostać wyzwaniom założono Stowarzyszenie Pro Gröditz eV. Posunięcie takie szybciej przybliży końcowy efekt podjętych prac, którym jest przywrócenie dawnej świetności obiektu.



Po trudach trasy Dietmar zaprasza do schroniska Św. Marty. Foto Krzysztof Tęcza

Muszę powiedzieć, że to co wykonano na dzień dzisiejszy wygląda bardzo zachęcająco. Pozwolono nam obejrzeć parter pałacu. Pokoje zostały odnowione i wyposażone w stare meble. Niektóre z nich wprawiły nas w zachwyt. Zauważyliśmy także „tajne” przejścia ukryte w ścianach. W oknach zawieszono ciekawe witraże, na ścianach widzimy wiele pamiątkowych portretów i ładnych obrazów. Są tu też wspaniałe piece kaflowe. Oczarowani tym wszystkim, bez wahania sięgnęliśmy do kieszeń by wrzucić po symbolicznym euro do skarbonki, a Emil dokonał stosownego wpisu do księgi pamiątkowej.



Pałac w Gröditz. Foto: Krzysztof Tęcza

Gdy wyszliśmy przed pałac okazało się, iż właśnie przybył Dietmar. Zaprosił nas on do schroniska dla pielgrzymów Santa Martha. Mogliśmy zobaczyć jak wygląda obiekt w środku. Jest tu kilkusobowy pokój, świetlica i kuchnia samoobsługowa. Koszt noclegu to symboliczne „co łaska”, jednak najczęściej pielgrzymi zostawiają 5. euro. Dietmar zaproponował nam zajrzenie do kościoła, jednak najpierw zaprosił nas do stodoły na posiłek. Okazało się, iż koło kościoła mają oni stary budynek gospodarczy przystosowany do organizacji różnych imprez, nawet weselnych. To tutaj spotykają się grupki młodzieży oraz tutaj wydawane są posiłki. Zachęceni spróbowaliśmy gulaszu z chlebkiem i ciemnym piwkiem. Pyszne. Porcja jaką dostaliśmy w zupełności wystarczyła byśmy poczuli się najedzeni. Dlatego nie było problemu by ruszyć w dalszą drogę. Najpierw zajrzeliśmy do wspomnianego kościoła. Już przy wejściu zaskoczył nas napis umieszczony nad drzwiami. Był on jakiś „znajomy”. Okazało się, iż napisy są tu dwujęzyczne: po niemiecku i łużycku. W środku urzekł nas ołtarz z obrazem przedstawiającym scenę ukrzyżowania Jezusa a nad nim Wniebowzięcia. Po obu stronach widoczne okna zaopatrzone zostały w zachwycające witraże.



Budziszyn. Foto: Krzysztof Tęcza

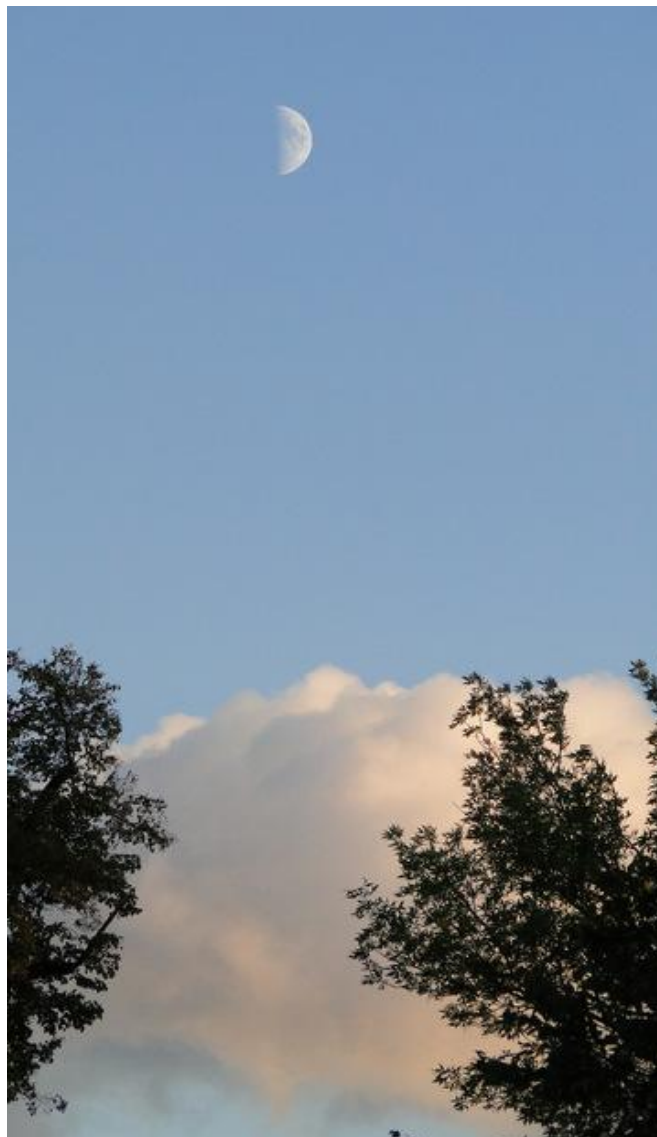
Nie tracąc więcej czasu pożegnaliśmy naszego gospodarza, który zaraził nas swoim optymizmem i radością bijącą od niego. Ruszyliśmy lipową aleją przez pola w stronę widocznego lasu.



Foto: Krzysztof Tęcza

Jeszcze tak szybko nie szliśmy. Wiatr jaki zerwał się niósł w naszą stronę zacinający deszcz. Każdy starał się ukryć pod drzewami. Gdy jednak dotarliśmy w bezpieczne miejsce wiatr ustał a deszcz przestał padać. Znak wskazujący nam dalszą drogę, namalowany na pniu drzewa, z powodu pęknięcia kory wyglądał tak jakby kierował w dwie przeciwne strony. Nie daliśmy się jednak zwieść i poszliśmy we właściwym kierunku. W nagrodę spotkaliśmy ładne koniki, które dały się nam pogłaskać. Minęliśmy niewielki pałac otoczony fosą, nad którą przerzucono kamienny mostek i dotarliśmy do miejscowości Drehse. Znajduje się tutaj wieża widokowa. Niestety nie udało nam się wejść na górę gdyż nie zastaliśmy osoby dysponującej kluczem. Każda jednak niedogodność może obrócić się na dobre. Dlatego gdy zdecydowaliśmy o przerwie na posiłek okazało się, iż drzewo pod którym stanęliśmy, to orzech włoski. Co chwile spadały z niego dojrzałe orzechy. Mieliśmy zatem smaczny deser. Jak się okazało podczas dalszej wędrówki takich drzew rosnących przy polnych drogach jest tutaj mnóstwo. I co ciekawe nikt nie zbiera ani orzechów, ani

jabłek, ani gruszek. Owoce zalegają w trawie i na drogach, tworząc całe kolorowe dywany. Idąc spacerkiem takimi właśnie drogami powolutku zbliżaliśmy się do ostatniego punktu naszej dzisiejszej wędrówki. Był nim Budziszyn. Zaraz na początku miasta ujrzelśmy tablicę, na której umieszczono stosowne powitanie dla przybywających tu turystów. Teraz pozostało nam już tylko dotrzeć w umówione miejsce, w którym miał na nas oczekiwać autobus. Szkoda tylko, że nie zwiedzimy dzisiaj Budziszyna, wszak to przepiękne miasto. Organizatorzy przewidzieli zwiedzanie podczas kolejnego etapu naszej pielgrzymki, czyli za tydzień.



Księżyc nad Budziszynem. Foto: Krzysztof Tęcza

My wracamy do domów patrząc jak na niebie pojawia się świecący coraz mocniej duży srebrny księżyc.

Krzysztof Tęcza